







PODRÓŻE, POZNAWANIE OBCYCH KRAJÓW TO NAJLEPSZY SPOSÓB NA ŻYCIE - TWIERDZĄ STUDENCI

## Zauroczeni Norwegią

Znają się z czasów licealnych. Mają podobne zainteresowania - uwielbiają podróże. Dotychczas pasjonowały ich górskie wyprawy, konkretniej - zdobywanie szczytów, gdzie liczy się przede wszystkim siła wola, chęć walki z samym sobą i otaczającą przyrodą. W tym roku członkowie karwińsko-frysztackiego zastępu turystycznego „Gorole” działającego pod patronatem drużyny harcercskiej pn. „Wielka Niedźwiedzica” - Roman Janusz, Krzysztof Czerny oraz Michał Pastuszek (zabrakło niestety w tej podróży czwartego członka wspólnych wypraw, Mariana Szczepańskiego, który musiał z niej zrezygnować z powodów zdrowotnych) postanowili „nieco” wycpać. Wybrali Norwegię...

- O wyjeździe do Norwegii myśleliśmy już od dłuższego czasu, ale jakoś dotąd nam to nie wychodziło. Planując dotychczasowe wypady, zawsze zwyciężały wycieczki w góry. Po zaliczeniu szczytu Elbrusa na Wielkim Kaukazie, Aktru w Republice Ałtajskiej oraz sprawdzeniu się w różnych partiach słowackich Tatr czy włoskich Dolomitach chcieliśmy poznać urokliwą norweską przyrodę. Słynne na cały świat fiordy, grzmiące wodospady, małe wioski przycupnięte gdzieś w zacisznej dolinie, drewniane kościółki. W naszych planach nie zabrakło też zwiedzenia strzelistych gór. Połączyliśmy po prostu przygodę ze sportem - mówi Roman.

Wyjazd do Norwegii poprzedziły długie przygotowania. Wertowanie przewodników, poszukiwania informacji na stronach internetowych. Najwięcej konkretnych wiadomości dostarczył im jednak znajomy z Karwiny, który już zaliczył te strony. Omówił z nimi trasę, doradził, dał konkretne wskazówki.

- Wiele jest możliwości dotarcia do tego kraju. My chcieliśmy uczynić to jak najsprawniej i możliwie najniższym kosztem. Zdecydowaliśmy się więc na transport autobusem z Brna do Oslo, a po środkowej Norwegii - autostopem. I jak się później okazało, był to trafny wybór, poznaliśmy bowiem wielu ciekawych Norwegów -

wspomina Michał. Do Oslo przyjechali 21 lipca. Nie zatrzymali się tutaj jednak na dłużej, gdyż zwiedzanie miasta zaplanowali na sam koniec podróży. Jeszcze tego samego dnia wyruszyli w stronę miasteczka Otta, by po nocy pod namiotem udać się w kierunku Parku Narodowego Rondane.

- Już na samym początku spotkało nas niesamowite szczęście. Kierowca, którego zatrzymaliśmy, uzalił się nad nami i zaprosił nas do swojego domu. Przez dwa dni jego rodzina udzielała nam gościny częstując nas „narodowymi” smakołykami, m.in. różnego rodzaju serami. Później już nie było nam to dane, gdyż artykuły spożywcze są w Norwegii bardzo drogie, a my liczyliśmy się z każdym groszem. Z naszymi przypadkowymi „domownikami” zwiedziliśmy też wspólnie miasteczko olimpijskie Lillehammer - mówi Roman.

Kolejne dni karwińscy podróżnicy spędzili w Parku Narodowym Rondane. Zauroczył ich krajobraz przypominający tundrę, wodospady, jeziora, kaskady wodne. Tutaj też podziwiali typowe dla tego kraju elementy - dachy domów pokryte wyłącznie trawą, jamy z „martwym” lodem w Dolinie Bergedalen, biwakowali nad jednym z najpiękniejszych jezior gór Rondane - Rondvatnet. I po drodze... zdobyli najwyższy szczyt Par-

ku Rondslettet (2178 m n.p.m.) oraz trzeci najwyższy szczyt Hogronden (2114 m n.p.m.).

Po pięciu dniach zwiedzania tego zakątką kraju, udają się autostopem do perły architektury norweskiej, miasteczka Lom, które jest bazą wypadową w masyw Jotunheimen.

- Kiedyś miasto to było centrum handlu i transportu, dziś jest ośrodkiem turystycznym, który zamieszkuje ok. 700 obywateli. Do największych tutejszych atrybutów należy Norweskie Muzeum Górskie oraz przepiękny, pochodzący z 1180 roku kościół - „stavkyrke” - którego słowna konstrukcja jest charakterystyczna dla Norwegii, a tradycją sięga przedchrześcijańskich czasów. Kościółek zachował część oryginalnego wystroju, m.in. smocze głowy na zewnętrz. W Lom jest także muzeum geologiczne, z największymi w Norwegii zbiorami minerałów i kamieni szlachetnych, ze specjalną ekspozycją kamieni z Jutenheimen - relacjonuje Michał. - Całe miasteczko to typowy skansen, w którym, jak głosi legenda, spędził noc św. Olaf.

Z miasta Lom to tylko „skok” do masywu Jotunheimen. Tutaj, w przeciwieństwie do naszych Parków Narodowych, turysta porusza się na zasadzie: „gdzie wola, tam i droga”. Nie ma zakazów wstępu i wymogu chodzenia po wyznaczonych szlakach. Z wyjątkiem wyraźnie zaznaczonych miejsc, gdzie zabrania się rozbijania namiotów, biwakować można wszędzie, a dla spragnionych dużego komfortu Norweskie Towarzystwo Górskie (DNT) pobudowało liczne schroniska. Oprócz typowych schronisk posiadających obsługę są również chaty samoobsługowe, w pełni wyposażone w pościel i żywność. Na ścianach takich schronisk wisi cennik, według którego reguluje się opłaty wrzucając pieniądze do puszek. Jest więc Jotunheimen wymarzoną rejonem dla turystów.

- W masywie Jotunheimen, nazwanym z powodu dużego zalodzenia Norweskimi Alpami Zachodnimi, biwakowaliśmy w jednej z najszerzych dolin lodowcowych Visadalen. Tutaj też zdobyliśmy najwyższy

szczyt Norwegii i Skandynawii Geohøpiggen. Wejście zajęło nam cztery godziny. Ale warto było. Na wiechołku znajduje się niewielki schronisk i mały triangel z tarczą i obramowaniem strzałką z celownikiem, dzięki któremu można namierzyć okolice szczytu i zapoznać się z panoramą. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu byliśmy wśród zielonych łąk i lasów - wspomina Roman.

Po opuszczeniu masywu Jotunheimen podróżników prowadzi m.in. po dolinę rzeki Otty, fiord Geirangerjord, okolice znanego wodospadu noszącego nazwę Siedem Siódem. Zatrzymują się w okolicach Naldal, słynących z farm truskawkowych.

- Postanowiliśmy podreperować budżet i zatrudniliśmy się na jednej farm leżącej w pobliżu miasteczka Valdall. Harowaliśmy od rana do późnego wieczora. Wytrzymało to cztery dni. Zarobiliśmy jednak trochę grosza na następną wyprawę - mówi Michał.

W drodze do wybrzeża Romsdal fjordu poruszają się tzw. Drogi Otaczające ich potężne, skaliste szczyty przypominają bowiem marszczone, złośliwe twarze bajkowych stworów. - Jest tutaj naprawdę wiele miejsc wartych odwiedzenia, platforma widokowa, z której można przyjrzeć się całej Drodze Troll. Na odcinku 10 km, jak na dłoń, dać jedenaście serpentyn i wspinających się pod górę samoloty - mówi Michał.

Po dwóch dniach pieszej wędrówki doliną Isterdalen, brodenia w bagnach i rzeczkach, nie spotykając po drodze żadnego człowieka, dojeżdżają do portowego miasta Andalsnes. Zasłużyli sobie na krótki wypocinek i kąpiel w fiordzie... Stąd autostopem przemierzają się do miejsc, gdzie po 24 dniach kończy się podróż po kraju Wikingów.

- Oslo, to jedna z najstarszych skandynawskich stolic. Założone około 1048 roku. Położone nad fiordem, otoczone wzgórzami i lasami, miasto, niczym nie przypomina



Rondański krajobraz

Fot. Archiwum podróżników

# POLPRESS

**Głos**  
- S.T.O.

Wydawca »Głosu Ludu« i »Naszej Gazetki«  
oferuje współpracę i pomoc w zakresie:

- kampanii reklamowych
- opracowania i druku ulotek reklamowych
- opracowania publikacji, kalendarzy i książek
- porad technicznych
- składu opracowań graficznych

Firma POL-PRESS z siedzibą w Czeskim Cieszynie,  
ul. Čapkova 200/7, tel. 777 851 170

Z ZASTĘPU TURYSTYCZNEGO »GOROLE«



Krzysztof (z lewej), Roman i Michał na dachu Północy, na wierzchołku góry Galhopiggen.

liwych, męczących europejskich stolic. Uliczki tętnią życiem, zwłaszcza latem, kiedy odbywają się tu liczne festiwale i imprezy na wolnym powietrzu – relacjonuje Roman. – Największą atrakcją są miejskie muzea – Thora Heyerdahla i Kon-Tiki, muzeum Fram prezentujące statek polarny, którym Roald Amundsen dotarł w pobliże bieguna południowego oraz musset, czyli muzeum Edwarda Muncha, najbardziej znanego malarza norweskiego. W Oslo, gdzie spędziliśmy dwa dni, zwiedziliśmy też bazylikę Domkirken, zamek Akershus, rozpoczynający lub kończący promenadę, którą można dojść do parlamentu, a także pałac i ogrody królewskie, budynek uniwersytetu oraz port k. Oslofjordu.

Roman, Marek, Michał i Krzysztof są pod wrażeniem egzotycznego pejzażu środkowej Norwegii. Przekonali się, że można tu spędzić wakacje, nie nudząc się ani trochę. Ceny to jedyne, lecz dotkliwy minus pobytu w Norwegii. Ceny żywności trzeba pomnożyć przez 1,5, a nawet 2. Rachunki w kawiarniach za kawę czy piwo wywołują ból głowy. Pólitrowy kufel w restauracji może kosztować nawet 5 euro, a butelka wina

25 euro. W tej sytuacji nie dziwi, że karwiniacy rzadko korzystali z tej formy usług.

– Jeśli szuka się czegoś naprawdę autentycznego, to znajdzie się to w Norwegii – twierdzą podróżnicy. – Cisza, spokój, wspaniałe widoki. Tu, nad brzegiem jeziora można odpocząć od nowoczesności, od stresu i odzyskać równowagę. Podziwiać fiordy – wąskie i długie zatoki, wijące się wśród stromych, skalistych brzegów, powstałych po zalaniu dolin polodowcowych. Są ogromne i robią wrażenie. Można wspinać się na lodowce lub zatrzymać się przy potężnych wodospadach. Z całą pewnością na sukces naszej wyprawy miała wpływ również pogoda. Takiego słońca przez pełne trzy tygodnie nikt z nas się nie spodziewał. Dla nas Norwegia, pomimo że widzieliśmy polacie śniegu, zamrożone jeziora itp. będzie się kojarzyć z ciepłem, białymi nocami i ze słońcem świecącym 24 godziny na dobę. Zakończyliśmy się w tym kraju i dlatego też postaramy się tu wrócić możliwie szybko. Dotrzeć tam, gdzie nie byliśmy, zobaczyć to, czego nie udało nam się obejrzeć w tym roku.

WANDA KULA

NIECODZIENNE HOBBY JOSEFA WANTULOKA

9912 km do Beverly Hills

Ciekawy, w dodatku własnoręcznie wykonany, rarytas ma w ogrodzie swego domku letniskowego w Łomnej Górnej **Josef Wantulok**. Z kolekcji około dwudziestu najróżniejszych drogowskazów można się na przykład dowiedzieć, jak daleko jest stąd w linii prostej do Pragi (321 kilometrów), Paryża (1361 km), Warszawy (339 km), Moskwy (1521 km), Stambułu (1886 km) czy Sydney (18 662 km).

Kolejne tabliczki pokazują odległość do Casablanci w Maroku (2965 km), na biegun północny (4504 km) oraz południowy (15 529 km). Inne drogowskazy są jeszcze bardziej precyzyjne. Wskazują bowiem niektóre popularne dzielnice znanych miast, jak np. Beverly Hills w Los Angeles (9912 km)... Ci, którzy pragną zobaczyć Statuę Wolności w Nowym Jorku, powinni wiedzieć, iż od ogrodu pana Wantuloka jest ona oddalona o 6878 km. Z dokonaniem precyzyjnego pomiaru odległości pomogła gospodarzowi jego krewna, która jest nauczycielką.

Tekst i zdjęcie: CZESŁAW GAMROT



Wzrost Josefa Wantuloka niczym nie różni się od drogowskazów na beskidzkich szlakach.

KORESPONDENCJA WŁASNA »GŁOSU LUDU« Z GWATEMALI

Tamala i caliente

Nasz samolot wylądował na lotnisku międzynarodowym La Aurora, Guatemala City późnym wieczorem. Jestem trochę podenerwowana, bo po pierwsze nie mam biletu powrotnego, który jest wymagany przez pracowników straży granicznej, po drugie nie mam zielonego pojęcia, gdzie będę nocować. Na szczęście wszystkie problemy jakoś się rozwiązują prędzej niż się stają rzeczywistymi problemami.

Przy kontroli granicznej uśmiecham się mile i przyjaźnie tak, że facet zapomina na reguły, a w chwili później zaznajamiam się z młodą Kanadyjką, która oferuje mi nocleg w jej hotelu. Żeby wyminąć stolicę kraju, która jest dużym, brudnym i niebezpiecznym mrowiskiem, ofiarujemy kilka dolarów na taksówkę i razem zmierzamy do Antiguy. Założona w połowie XVI wieku Antigua

przedstawia przepiękne miasto kolonialne, które w Guatemali nie ma sobie równego. Zagnieżdżona pomiędzy trzema wulkanami (Agua, Fuego i Acatenango) obfituje w przepiękną architekturę, spokojne i kolorowe tempo życiowe, ale także w chmary turystów. A oblicze miasta niestety dostosowuje się ich potrzebom i zachciankom. Wolę więc nie zwlekać i przesunąć się w góry, do regionu Kicze, gdzie żyje najwięcej Indian.

Jest dużo sposobów, jak poznać inny kraj i jego kulturę. Można go przejechać wzdłuż i wszerz i nie widzieć jego prawej twarzy. Rzeczywistość czasami ukrywa się w napotkanych kobietach, które taszczą na plecach niemowlęta owinięte w szmatkach, czasami ukrywa się w prostych wioskach, gdzie brakuje jedzenia i



Wulkan Agua-Antigua

nego pochodzenia krainy) czy króciutko Xela. Tu zamieszkałam z miejscową rodziną i uczęszczam do szkoły języka hiszpańskiego. Tu także spędziłam minione święta Bożego Narodzenia. Święta są jak najbardziej czasem spotkań rodzinnych i tak samo, jak u nas, główne obchody mają miejsce 24 grudnia. Panuje jednak zwyczaj poczekać do północy i dopiero wtedy rodzina zasiada do kolacji świątecznej. Szczerze powiedziawszy, czułam się trochę zawiedziona, bo brakowało mi tu specjalnych tradycji czy zwyczajów, tak poufnie znanych z domu rodzinnego. Święta oznaczają mniej więcej okres sytości i trochę luksusu dla tych, którzy mogą sobie tego użyć. Wszyscy obywatele Guatemali – młodzi i starsi – lubią się zabawiać i są zapalonymi miłośnikami i kibicami wszelkiego rodzaju ogni sztucznych i petard. Przy każdej okazji, a w okresie Świąt szczególnie można przez godziny słyszeć wybuchy fajerwerków.

Typowym pokarmem świątecznym jest tamal. Tamal to po prostu duża kwadratowa kluska owinięta w liściu palmowym czy bananowym. Ciasto do wyrobu klusek składa się ogólnie z mąki kukurydzianej albo mielonych ziemniaków zmieszanych z wodą, jajkiem i specjalnymi przyprawami i jarzynami. Tamale w dzień Bożego Narodzenia jednak się trochę różnią, bo głównym składnikiem jest rzadka masa ryżowa z tłuszczem, oliwkami i mięsem mielonym. Masa gotuje się w liściu, który nadaje tamalom ciekawy smak.

Istnieje też tradycyjny napój świąteczny, nazywany caliente, czyli napój gorący. Gęsty, mętny i słodki poncz koloru białego powstaje przez gotowanie ananasa, orzecha kokosowego, rodzynek, jabłek i cynamonu. Jest to napój bardzo syty i wyśmienity, a zwłaszcza kiedy do niego dodamy dostateczną ilość miejscowego rumu.

OLGA KOZUSZNIK



Decoracje świąteczne w Xela.

Fot. AUTORKA

wody. Moją rzeczywistością stało się na długi czas Quetzaltenango, nazywane też Xela-ju (czyt. Szejlach), co w języku Kicze oznacza miasto zbudowane na kamieniu i prawdopodobnie odnosi się do wulkanicz-

Nowości Płytkowe

Myslovitz – »Skalary, mieczyki i neonki – Improwizacje«

Dwa lata dane nam było czekać na nową płytę studyjną grupy Myslovitz. Chłopaki ze śląskich Mysłowic to chyba najlepszy polski towar eksportowy od czasów słodczy krówkami zwanymi.

Przyznaję, że bardziej lubię piosenkowe oblicze tego zespołu znane z poprzednich jego krążków, a zwłaszcza dwu świetnych płyt – „Miłość w czasach popkultury” i „Korova Milky Bar”. Najnowsze wydawnictwo Myslovitz zawiera zaś psychodeliczne improwizacje, które powstały w ramach sesji do płyty „Korova Milky Bar”. Album promuje uroczą piosenkę „Zycie to surfing” (ze skądinąd świetnym tekstem Artura Rojka), ale gros płyty zajmują utwory instrumentalne. Powiem krótko, ten, kto nie słyszał nigdy dokonań takich grup, jak Mogwai czy bardziej sławnych King Crimson z ostatniego okresu ich twórczości, może i zachylić się nową muzyką Myslovitz. Na mnie jednak ta psychodelia nie robi większego wrażenia. Z trzynastu kompozycji tak na dobrą sprawę włączam w swoim odtwarzaczu tylko wspomnianego już singla i ukryty pod numerem dziewiątym „Czerwony notes, błękitny prochowiec”. Bo uwielbiam właśnie taki słodki, może i nieco pretensjonalny wizerunek Myslovitz. Nie słodzę kawy ani herbaty, a każdemu przecież potrzeba do życia odrobiny cukru...  
JANUSZ BITTMAR







